



JOANNA SZCZEPKOWSKA

Ponad pół tuzina ról filmowych, czternaście już emitowanych a dalsze dwa czekające na emisję przedstawienia telewizyjne z Pani udziałem, wreszcie stała obecność na scenie Warszawskiego Teatru Współczesnego, to ogromny dorobek dla tak młodej aktorki. Przecież zaledwie pięć lat temu skończyła Pani szkołę?

– Debiutowałam w roku 1975, jeszcze jako studentka, małą rolę w filmie Włodzimierza Haupego „Doktor Judym”.

– Zawsze pragnęła Pani zostać aktorką?

– Bardzo bym chciała móc odpowiedzieć inaczej, ale to by była nieprawda. Odkąd siebie pamiętam, myślałam o tym, żeby zostać aktorką. Film czy telewizja to było coś w rodzaju szatana, który kusił łatwym sukcesem, a odciągał od żmudnej i prawdziwej pracy w teatrze. A, jak zresztą pewnie wielu młodych aktorów, własnie teatr przyciągał mnie przede wszystkim. Niestety, okazuje się, że dzisiejszy teatr nie ma ani siły, ani nie pozostawia czasu na tak mocne uczucia.

– Aktorstwo – to pomyślał tylko na pracę, na wykonywanie interesującego zawodu, czy może coś więcej? Pomyślał na życie?

– Tak, to miało być życie, jak we wspomnieniach aktorów sprzed lat. Grupa ludzi, poświęcających się całkowicie swoim artystycznym poczynaniom, gorąca publiczność, zawód ryzyko.

– A dzisiaj?

– Dziękuję. Jesteśmy przede wszystkim zajęci.

– O tym szaleńczym rytmie pracy nie ma raczej mowy w szkole?

– Jedynym celem naszych studiów jest dobre przygotowanie przedstawienia dyplomowego, nad każdym spektaklem czy nad każdą sceną pracuje się po kilka miesięcy. Rzecz w praktyce na ogół nie do pomyślenia.

– Szczególnie w telewizji...

– Warszawska uczelnia różni się dosyć zasadniczo od innych szkół w kraju. Nie ma w niej – jak w Katowickiej czy w Łódzkiej – praktycznych kursów zachowania się przed kamerą filmową czy telewizyjną. Zwraca się natomiast szczególną uwagę na rozwój osobowości. To bardzo ważne także w filmie i w telewizji. Wrażliwa, „swoja własna” twarz może mieć masę ekspresji i wymowy. Taki sam skutek w teatrze osiąga się przez lata pracy nad techniką i opanowaniem ciała. Stąd chyba tyle „rewelacji” i nowych twarzy w filmie i telewizji, które na scenie muszą jeszcze długo dojrzewać, by osiągnąć sukces.

– Bardziej Pani ufa doświadczeniu czy intuicji?

– Jednak bardziej intuicji. Mam zaufanie do własnej wrażliwości. Niestety, rzadko udaje mi się opowiedzieć, co chcę zagrać. Szczególnie w telewizji na próbach wszystko wygląda inaczej niż przed kamerami. Ja czuję ostateczny rezultat, ale nie zawsze potrafię przekonać o tym reżysera.

– Gra Pani w telewizji bardzo dużo, ale przeważnie są to role tak zwanych pierwszych naiwnych. Jak się Pani czuje w tej skórze?

– Coraz gorzej. Bardzo miło być pierwszą naiwną, ale jak długo można udawać... Nie ulega wątpliwości, że psychicznie bardziej odpowiadają mi role kobiet silnych i świadomych.

Żeby chociaż umiała zagrać taką naiwną „poprzez siebie” – pokazać, że ona w gruncie rzeczy wie, że jest świadoma swojej naiwności, itp. Niestety, nie uprawiam i nie lubię takiego aktorstwa. Zwykle mam ambicję zagrania tej właśnie postaci, którą mi dano do grania, a nie siebie w takiej czy innej roli. Chyba w „Kłatwie” Wyspiańskiego miałam rzadką szansę zagrania właśnie innej osoby. Ale tak obsadzana, ze względu na swoje warunki, jestem niestety bardzo rzadko.

– A jaka będzie Solange, którą gra Pani obecnie w „Lecie w Nohant” Iwaszkiewicza, reżyserowanym przez Olę Lipińską?

– W moim przekonaniu jest to silna osobowość, dziewczyna bardzo inteligentna. Właśnie godna przeciwniczka swojej matki, tyle tylko że bardzo młoda. Rywalizacja o Chopina łączy się u niej z zafascynowaniem matką i chyba głęboką miłością do niej... Mogłabym mówić o tym dużo, ale wolałabym to zagrać...

– Czy ma Pani jakieś aktorskie marzenia?

– Dobra współczesna rola w sztuce, którą bym akceptowała w całości. Nie wydaje mi się, żeby współczesny aktor mógł być tylko mechanicznym odtwórcą proponowanych postaci. Jest to trudniejsze w filmie, gdzie ostateczny rezultat pozostaje zawsze niewiadomą. Ale w teatrze i chyba także w telewizji jest to jednak możliwe. Aktor pracuje własną twarzą. I powinien ją mieć.

Rozmawiała
JANINA KUMANIECKA

fol. ROMUALD PIENKOWSKI

